

## O smutku

„Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach  
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch  
ocalałeś nie po to aby żyć  
masz mało czasu trzeba dać świadectwo...”

Tak Zbigniew Herbert radził Panu Cogito i tak żył, w moim przekonaniu Adam. Ciągle jeszcze się z Adamem żegnam i ciągle mam wrażenie, że przyjdzie do pracy w krótkich spodenkach mając nowy pomysł na bieganie z dziewczynami. To prawda, że Adam nienawidził oficjalnych przemów i eventów ku czci, aleśmy tyle dziwnych historyjek razem przeżyli, że słów kilka nie zaszkodzi. I jemu i mnie...

---

Jako że, obaj byliśmy zmuszeni w czasie studiów dorabiać, by przetrwać imaliśmy się różnych zajęć, które nie wymagały wysokich umiejętności i nie skłaniały do kradzieży, gwałtu i przemocy. Najczęściej było to malowanie, czyli robota prosta. Na trzecim roku studiów trafiła nam się fucha, którą uznaliśmy za dar z niebios - malowanie wieży wyciągowej na kopalni Dębieńsko w Czerwionce Leszczynach. Prac miała kilka mankamentów, które na ów czas nie bolały zbytnio, bo obietnica kasa była wielka. Otóż pracę można było wykonywać tylko w niedziele od 6 rano do 14, praca była do wykonania na przełomie marca i kwietnia, prace na wysokości do 20 metrów nad ziemią wykonywało się bez zabezpieczeń (takie były wypasione czasy a teraz żeby umyć okno trzeba mieć badania wysokościowe), padał cholerny śnieg z deszczem, w rękawicach nie dało się utrzymać pędzla i młotka do zbijania rdzy, więc rękawice leżały sobie w szatni, trudno zapalało się fajkę wisząc piętnaście metrów nad ziemią z twarzą w kolorze czerwonym (minia ma kolor czerwony i niezwykle trudno zmywa się ją z twarzy, włosów i rąk, nawet mając nieograniczone ilości rozpuszczalnika) i ostatnie - malować trzeba było z góry w dół, więc zgadnijcie na kogo kapłała farba z pomalowanych już elementów? Dużo tych „ale”, robotę jednak wykonaliśmy z godnością i honorem Polskiego Studenta Resocjalizacji. Myślę teraz, że kąpiele w rozpuszczalniku po robocie też skłaniały do powrotów w kolejne niedziele, choć zabiły niezliczalną ilość naszych szarych komórek.

Był rok 1990, wolna Polska nadciągnęła a najlepsze miało dopiero nastąpić. Wypłata! I to nie była jaka wypłata. Wypłata w spółdzielni studenckiej w Krakowie. Dwa słowa - wypłata i Kraków. Nie było na naówczas lepszego połączenia, no chyba że weekend w górach z dziewczyną i pokój dwuosobowy albo bilety na przegląd filmowy i dyskusja przy piwie. Ale wróćmy do wypłaty i Krakowa. Jedziemy, pociąg, dwie godziny, ulica przy rynku, spółdzielnia studencka (tu drobna dygresja - nigdy nie wiedzieliśmy ile zarobimy ale miało być dużo, taka specyfika pracy w oparciu o umowę ustną - „zróbcie i się dogadamy, będziecie zadowoleni”). Stajemy w kolejce po ciężko zarobione pieniądze i, i co? No, dupy nie urwało ale da się żyć, szczególnie, że opodał czeka nagroda. Krakowskie księgarnie oferujące znacznie więcej niż katowickie, a do tego nastrój i klimat miasta akademickiego i już. Tak się kończy historia, kasa poszła na książki, kolejna robota czekała i byliśmy szczęśliwi. Często wracaliśmy w rozmowach do tych czasów, bo historyjek było więcej, ot choćby wyprawa maluchem w czterech dużych facetów do Wiednia a wracaliśmy, bo to był dobry czas, który ukształtował nas na przyszłość. Określił nasze podejście do ludzi i pracy.

I wszystko wskazywało na to, że z dnia na dzień będzie lepiej i ciekawiej, jednak Adam miał inny pomysł na zagospodarowanie tego czasu. Umarł, pozostawiając mnie w rozdarciu pomiędzy smutkiem a poszukiwaniem sensu w tej śmierci.

Jedno pamiętał będę zawsze:

„strzeż się jednak dumy niepotrzebnej

oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz

powtarzaj: zostałem powołany - czyż nie było lepszych” - bo i to radził Zbigniew Herbert Panu Cogito

Tomek Stuła